

— Czy z taką urodą tyje się łatwiej? Słowem, czy uroda, popularność, pomaga na co dzień?

— Niedawno miałam bardzo poważny wypadek samochodowy. Kiedy pogotowie przywoziło mnie do szpitala trudno było mnie rozpoznać. Twarz zapuchnięta, zalana krwią, przykryta włosami. Nie rozpoznano mnie i przez półtorej godziny traktowana byłam koszmarnie. Powiedziano mi „pani stoł”. I musiałam tak stać pod drzwiami i czekać, a przecież nie było wiadomo czy nie ma wstrząsu mózgu, złamanego kręgosłupa czy czegoś tam jeszcze. Dotychczas znalazłam służbę zdrowia od najlepszej strony. Bywałam w najlepszych szpitalach, uśmiechano się do mnie — często i życzliwie. Nie było żadnych łapówek, żadnego rzucania basenem. A tutaj, dopiero kiedy podałam dowód osobisty, natychmiast znalazły się nosze, od razu przewieziono mnie na reanimację. Słowem jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wszystko się zmieniło. A gdybym nie nazywała się Dymna lecz np. Kowalska to mogłabym umrzeć pod trymi drzwiami. Przecież to jest obrzydliwe.

Różnie z tą popularnością bywa. Kiedyś wulgarnie zaczęli mnie — wracający z teatru — mężczyzna. Bijąc po plecach krzycał: „ty k... dwa razy machniesz d... i jesteś milionerką, a ja muszę ciężko pracować”.

— Ale — na szczęście — nie często chyba zdarzają się tacy „wielbiciele”.

— Więcej jest tych uśmiechających się ciepło.

— Trudno się dziwić, najczęściej grywała Pani istoty słabe, kruchorodzinne, niewinne i pokrzywdzone przez los. Jak więc można by się nie uśmiechnąć ciepło do takiej np. sierotki Marysi w „Znachorze”, czy Barbary Radziwiłłówny, która „była bardzo piękna i musiała umrzeć”.

— Lecz np. Ania z „Nie ma mocnych” nie była ani „kruchorodzinna” ani też nie musiała umrzeć.

— Ale za to miała sympatycznych dziadków.

— I myśli pani, że to jest główny powód tych uśmiechów.

— Owszem. Przy pominięciu innych (powodów). Można również się do Pauli uśmiechać jako do najmniejszej po doskonałej kreacji w Teatrze Telewizji „Załoba nie przystoi Elektrze”. Albo też do znajomej ze sceny w macierzystym teatrze, czyli królewej Elżbiety w „Don Carlesie”. Na te dwie ostatnie role, jakże inne od pozostałych, przyszło Pani długo czekać, chociaż nie na powód do narzekania, bo przecież nie zna Pani kłopotów, niepokojów związanych z zaangażowaniem się w teatr, z eraniem, słowem z pracą w zawodzie.

— To prawda. Miałam wielkie szczęście, nie musiałam przeżywać tzw. progu — przejścia ze szkoły teatralnej do teatru, bowiem przez cały okres studiów grałam w filmach, teatrach. Moi profesorowie pozwalali mi na to. A ja nie nie traćłam, jedynie więcej pracowałam. Po raz pierwszy na scenie profesjonalnej w Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie zagrałam na I roku studiów, będąc zaś na III roku zagrałam dużą rolę w Teatrze Starym. Marzyłam o tym aby być aktorką tego teatru i kiedy robiłam dyplom dyr. Gawlik uznał za rzecz zupełnie naturalną, że powinnam być w Teatrze Starym. W tym teatrze byli moi koledzy, profesorowie i zostałam tutaj wspaniale przyjęta. Zresztą jest to teatr, który stwarza warunki dla rozwoju młodych aktorów pięknie ich przyjmuje. Start w tym teatrze jest rozkoszą dla aktorów.

— Tak się szczęśliwie stało, że zagrała Pani u najlepszych reżyserów, bo i u Swinarskiego, i u Wajdy, i u Jarockiego. A to dla młodego aktora jest chyba najważniejsze. Czy jednak, poprzez przyznanie własnej szczęśliwości potrafi Pani dojrzeć losy swych koleżanek, koleżków z roku? Wszak nie każdemu udaje się błysnąć na samym początku. Niektórym trzeba lat.

— Nie śledzę ich kariery ale wiem, że wielu z nich gdzieś przepało. Nic o nich nie słychać. Wiem też, że inni pracują w teatrach prowincjonalnych.

— Czy ma Pani ideał człowieka, który słuszy Pani za wzrocz moralny?

— Chciałabym być kiedyś taka jak pani Zofia Jaroszevska. Nie mówię o aktorstwie, bo gdzieś mi się porównywać. Mówię o kobiecie, człowieku. U starych aktorów często pojawia się zgorzknienie (często na skutek niespełnienia w zawodzie, niezagraniem wymarzonej roli) a nawet zawiść w stosunku do młodych. A pani Zofia jest życzliwa, dowcipna, pełna humoru, otwarta dla innych.

— Istnieje więc wśród młodych aktorów potrzeba autorytetu.

— Oczywiście. Zawsze. Jakkolwiek dzisiaj wszystkie autorytety dewalują się i ta biedna młodzież w nic już nie wierzy. Ale w moim zawodzie jest wie-



Fot.: KARIN BLASIG

## ANNA DYMNA:

# Zostanie po nas jedynie klatka filmowa...

lu wspaniałych ludzi. Zazwyczaj ci wielcy aktorzy to bardzo skromni ludzie. Cieszę się, że mogę pracować w tym zawodzie otwarta dla innych.

— Z wielką miłością i szacunkiem mówi Pani o środowisku. Skąd wziął się mit (tak to nawiąjmy) przedstawiający aktora jako człowieka „trunkowego”, abnegata itd.

— Często zdarza się, że ludzie czują się niepotrzebni jako aktorzy. A w tym zawodzie to jest prawie tak jakby brakowało tlenu. Są aktorzy, którzy przez całe życie nie zagraли ani w filmie ani w TV a w teatrze, grają od czasu do czasu i to same ogony. Trudno więc im się dziwić, że zachowują się czasem trochę „dziwnie”.

— Jak rozumie Pani moralność w zawodzie aktorskim?

— Rolę, którą nam powierzono należy zagrać najlepiej jak to tylko potrafimy. Musimy w nią włożyć wszystkie siły psychiczne i fizyczne. Czasami tych sił nie ma i wtedy przeżywamy załamanie. A konkurencja w tym zawodzie jest duża, przecież Polska ma wspaniałych aktorów.

— To dlaczego mówi się o fatalnym stanie polskiego aktorstwa?

— Kto to mówi? Na Zachodzie polscy aktorzy są oceniani bardzo wysoko. Tylko, że u nas nie ma tak rozwiniętego przemysłu reklamowego jak tam. U nich z aktora, u którego zauważa się talent, szybko robi się gwiazdę. U nas nikt się tym nie zajmuje, nikogo to nie interesuje.

— Wrómy do pojęcia moralności zawodowej. Ograniczyła je Pani do rzetelnego wykonawstwa. I to wszystko?

— Nie. Jeżeli np. gram rolę prostytutki, czy gestapowca, to muszę wiedzieć czemu służy ta postać. Mogę zagrać nawet Hitlera, ale po to, by pokazać całe zło faszyzmu. Nie powinnam grać przeciwko własnej moralności. Jeżeli wiem, że przedstawienie ma służyć czemuś niedobremu, ma popierać przekona- nia, które nie są moimi i stoją w sprzeczności z moją moralnością to nie powinnam w tym brać udziału, nie powinnam przyjmować takich ról. Skoro, bowiem, rola jest przeciwko mnie, to nie jestem w stanie dać w niej z siebie wszystko. Słowem nie potrafię tego zagrać dobrze, a to co zagram nie będzie prawdą. Używa się nas często jako trybun politycznych. Do furji mnie to doprowadza. Bo jeżeli chcę działać np. na rzecz ochrony środowiska czy psów rasowych, to sama rozwijam sztandar „popierajcie psy rasowe, Muffel” i pokazuję go w telewizji. I nie trzeba mnie

do tego namawiać. Ale kiedy nie chcę to znaczy że nie chcę.

— Mówi Pani o uczuciowości i rzetelności w budowaniu roli. Ale tworzenie postaci, zwłaszcza w dramacie współczesnym, wymaga wiedzy o rzeczywistości. A Pani tyje jakby „pod kleśmem”. Co Pani wie np. o codzienności pozateatralnej, o zatłoczonych autobusach w porze szczytu, o kilometrowych kolejkach „po szarość”, o ciężkich siatkach itd., itd.?

— Żyje normalnie. Słyskam się z ludźmi z różnych warstw społecznych. Na ulicy, w tramwaju czy w kolejkach. Codziennie oglądam te afery w sklepach, bo sama robię zakupy i gotuję obiady. Jeżdżę autobusami, tramwajami lub na rowerku.

— A nie lepiej samochodem?

— Nie mam.

— Dlaczego?

— Jak by tu powiedzieć. Zabrani to być może nieprawdopodobnie, ale nie miałam pieniędzy. Spaliło mi się mieszkanie, musiałam je remontować. Zresztą sama Pani widzi jak tu wygląda i ile jeszcze trzeba włożyć w to pieniądze. Poza tym te trzy wypadki samochodowe sprawiły, że nienawidziłam tego pojazdu. Chociaż teraz bardzo by mi się przydał. Ale ceny na giełdzie są bardzo wysokie, a my znowu nie zarabiamy aż tak wiele.

— Jaką ma Pani gaź w teatrze?

— 8.800 zł z tym, że od niedawna w moim teatrze za każdy spektakl, w którym gramy otrzymujemy wynagrodzenie. Stawkę przyznaje dyrektor. Ja otrzymuję 700 zł od przedstawienia. Oczywiście, nie każdy aktor gra codziennie. U nas w repertuarze jest wiele sztuk, które idą na zmianę. Nie we wszystkich się gra. Tak że w sumie w teatrze przeciętnie zarabiam ok. 16, 17 tys. zł miesięcznie. A więc z samego teatru samochodu jeszcze długo nie kupię.

— Ale z telewizji i kina (i to nie tylko polskiego) już chyba tak. Wszak prepozyt ma Pani wiele.

— Po tych kilkudziesięciu filmach, w których wystąpiłam, przyznano mi najwyższą stawkę, tzn. 5 tys. zł za jeden dzień zdjęciowy. Zazwyczaj rola wymaga ok. 20 dni zdjęciowych, a taki film przeciętnie realizuje się na przestrzeni całego roku. W telewizji zaś za dużą rolę otrzymuje się od 25 do 30 tys. złotych.

— Posypały się na Panią nagrody: nagroda państwowa, Złoty Ekran...

— Nigdy nie otrzymywałam nagród. Ostatnio tak jakoś się

stało. Zaskoczenia niemal. Kiedyś, pamiętam, Złoty Ekran był najwspanialszą nagrodą dla aktora. A teraz — niestety — wszystkie nagrody się zdevaluowały. Mimo wszystko cieszyłam się z tego Ekranu jak dziecko. A do Warszawy jechałam cała przestraszona. Bo działał jak się dostaje nagrodę to od razu zaczynają się kombinacje: dlaczego dostała ten Złoty Ekran? Na pewno należy do nowych związków. Albo do partii.

— A należy?

— Nie. Założyłam swoją prywatną partię. Domowa.

— Mówią o Pani „kura domowa”. Dotąd myślałam, że taka „kura” wygląda inaczej. A może to tylko taki nowy, „kurzasty” rodzaj reklamy?

— Lubię być kurą domową, ale tylko dlatego, że mam niewiele czasu aby nią być naprawdę. Bo gdybym musiała siedzieć w domu i gotować codziennie obiady to nienawidziłabym tego z całego serca. Bardzo ważną sprawą dla mnie jest mój zwód i mój dom. Bo to są jak gdyby dwie wartości ustawione na dwóch różnych biegunach. I to jest całe moje życie: praca, która jest niezwykle męcząca i która bardzo Kocham, i dom, w którym odpoczywam i który też bardzo Kocham. I w którym lubię coś podhubać, za-

sadzić kwiatki, zrobić jakiejś krzesło, sweter na drutach czy uszyć spodnie mężowi.

— Z jednej strony los jak gdyby Panią holubił: dał urodę, obdarował sukcesami zawodowymi. Z drugiej zaś — tej intymnej, prywatnej — dość boleśnie doświadczył: wypadki, groźba utraty możliwości wykonywania zawodu, śmierć męża, spalenie się mieszkania itd., itd. Czy te doświadczenia zmieniły Panią?

— Dzięki temu, że mi się świat parę razy walił dzisiaj potrafię cieszyć się drobiazgami. Widzi pani, zrobiłam sobie tutaj ogródek skalny. Codziennie obserwuję jak to rośnie. Cieszę się kiedy zakwitnie mi kwiatek. Zobaczyłam ile pięknych rzeczy jest dookoła, których poprzednio nie zauważałam, bo żyłam sobie „jak promyczek słońca”. Była drobniak, małe niepowodzenie, złościło. Teraz stałam się bardziej tolerancyjna. Wszystko to powoduje, że czasami mam uczucie jakbym żyła już sto lat.

— Słowem uczucie starości. Nie boi się Pani starości, która przecież kiedyś nadejdzie i zabierze wiele z tego co dzisiaj sprawia Pani radość?

— Nie myślę o niej. Podobna mi się każdy następny dzień. I nigdy nie chciałabym wracać. Jest tylko jedna rzecz w przeszłości do której wróciłabym. Ale o tym nie powiem.

— Co dla Pani stanowi wartość trwania, taką najważniejszą?

— Wydaje mi się, że dziećmi są taką wartością. Dzieci, które pozostają po nas i które sprawiają, że patrząc na nie potrafimy być szczęśliwi nawet wtedy kiedy dookoła nie jest zbyt optymistycznie.

— Ma Pani dzieci?

— Nie. Ale bardzo chcę. I będę miała. Tylko muszę zdążyć, bo lata już mijają...

— Ile Pani ma lat?

— 34. Starzy aktorzy mówią, że teatr jest okropnie zdrowszy o wszystko. Kiedyś w tym zawodzie nie wolno było mieć dzieci. Dyrektorzy wyrzucali z teatrów aktorki, które zachodziły w ciążę. Sporo jest dziś aktorów starych i bardzo samotnych. Tych, które uważały, że teatrowi trzeba oddać wszystko. Nawet życie prywatne. Nie wolno przeoczyć nam faktu, ja, kim jest urodzenie dziecka. Bo sztuka przemija. Zostanie po nas najwyższej jakości klatka filmowa...

Rozmawiała:

TEMIDA

I. STANKIEWICZÓWNA